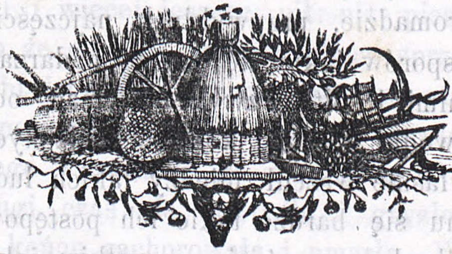
Tom XIX. Nr. 10.

1. października 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Mateusz Grzęda wójt jakich mało.

Walenty Grzęda wzorowym był gospodarzem, oszczędnym i pracowitym, to też mu się wiodło i z każdym rokiem przybywało mienia. Dobrą miał żonę i dwóch synów, Jędrzeja i Mateusza. Był dostatek w jego chacie, że nawet biedniejsi zazdrościli mu tego wszystkiego, lecz on chwaląc Boga pracował nieustannie a swem postępowaniem i cnotliwem zachowaniem się zjednywał sobie szacunek i poważanie w całej gromadzie; że zaś nikomu nie zrobił krzywdy więc go lubiono i za wzór drugim stawiano. Gdy tak powszechną zjednał sobie miłość, zaufanie i powagę, wybrano go na przełożonego gminy, sołtysa czyli wójta — on też nie wzbraniał się od posług gromadzkich i przyjął z chęcią ten obowiązek na siebie, obiecując go wypełniać sumiennie i troskliwie dla dobra całej gromady.

Urząd ten przełożonego całej gminy jak nastręcza dla człowieka roztropnego szerokie pole do czynów sprawiedliwych,

dobrych i zacnych, tak znowu dla słabszych duchem śliską jest drogą do zepsucia, rozpusty, niesprawiedliwości i czynów krzywdzących. Przyczynia się do tego najbardziej przykład starszych w gromadzie, przywykłych najczęściej do pijatyki przy sądzeniu sporów jakie się często nadarzają między włościanami, a z nimi i sołtys zwykł trzymać, odprawując sądy przy kieliszku wódki spijanej kosztem sądzonych.

Walenty właśnie wszedł między takich ludzi. Z początku nie podobało mu się bardzo takie ich postępowanie, lecz nie miał na tyle siły by oprzeć się wszystkim jak i dotychczasowemu postępowaniu, i chcąc niechcąc musiał rozsądzać spory w karczmie i spijać gorzałkę. Nie sprzeciwiając im w niczem zasądzał często sprawy po ich woli, choć przekonany był, że nie całkiem sprawiedliwie rozstrzyga i czyni krzywdę swemu bliźniemu. I takie sądy odbywały się dosyć często a zawsze w karczmie, przy pijatyce, i kończyły się zwykle na nowej kłótni i bitce, nieraz i z samym wójtem, które służyły do nowych sądów i kar.

Przyzwyczaił się więc Walenty pomału do takich sądów i towarzystwa karczemnego, że rzadko kiedy był taki dzień żeby nie zajrzał do karczmy i obszedł się bez gorzałki, a jeżeli kiedy się to zdarzyło, to już chodził taki, jakby mu czego brakowało. A że sądy takie nie bywały codziennie by mógł cudzym kosztem używać tego palącego trunku, więc musiał pić za swoje pieniądze lub robić długi, za które żyd dobry procent kazał sobie płacić.

Takim więc sposobem nie przybywało mu mienia, lecz ubywało dosyć znacznie dobytku a zaniedbana rola nie rodziła tak obficie jak przedtem, gdy Walenty strarannie koło niej chodził. I opuścił tak dom i gospodarstwo wysiadując wciąż prawie w karczmie, zapomniał o Bogu i kościele, o żonie i dzieciach wzrosłszy w pychę i dumę.

Po kilku latach takiej gospodarki i urzędowania Walentego znaczny ukazał się ubytek w jego majątku, w oborach chudoby już mało co było, a zboża to już całkiem brakło, gdy dawniej

stajnie pełne były a zboża dosyć w zapasie. Lecz Walenty nie mógł się upamiętać i zapanować nad sobą, tylko brnął wciąż w długi i więcej jeszcze pił niż pierwej — i doprowadził do tego że ostatnie bydlę z obory sprzedanem zostało i jeszcze na grunt jego żyd pożyczył mu coś pieniędzy.

Gdy tak potracił wszystko i został prawie ubogim, ludzie stronili od niego i zrzucili go z urzędu a innego wybrali. Żona jego długi czas się martwiła i gryzła postępowaniem Walentego, w końcu zachorowała i umarła. Walenty pił dalej i gdy swego już nie starczyło, to zaczął wypożyczać od drugich, wreszcie jak mu się udało skrzywdzić jakie sieroty to sumienie nie powstrzymywało go od tego czynu — i doprowadził do tego że grunt i chatę jego sprzedano, zostawiając go z dziećmi bez niczego.

Zmartwiło go to bardzo, bo przypomniał sobie niedawną zamożność swoją, znaczenie i cześć u ludzi, gdy teraz został ubogim, wydziedziczonym przez swych dawnych sąsiadów — i z rozpaczy zaczął pić bez opamiętania za resztki pozostałości z całego mienia, tak że zachorował z tego i po długich męczarniach umarł w zgryzocie i nędzy, zostawiając dwóch synów bez opieki, bez chaty i roli.

Pozostali synowie Walentego Jędrzej i Mateusz byli już dosyć tęgimi parobczakami, że mogli zarobić na siebie, jednak wychowani w dostatku i wygodzie, nie mogli się odważyć pójść w służbę za zarobkiem. Z rozpaczą spoglądali na chatę swoich ojców, z której kazano im się wynosić, z żalem spoglądali na piękną rolę, która wyżywiła nie jedno pokolenie darząc obfitym plonem. I serce z bolu ściskało się obom gdy przyszło im opuścić swoje gniazdo rodzinne, swoją chatę i rolę, i łza rozpaczy cisnęła się do oka, bo nie wiedzieli gdzie się mają udać i do kogo. Wreszcie po długich naradach i żalach postanowili szukać sobie służby by zapracować na chleb powszedni, i rozeszli się każdy w inną stronę — Jędrzej do karczmy, Mateusz do kościoła i na plebanię do księdza.

Jędrzej udał się pod opiekę żyda, który mu poradził że na frasunek dobry trunek; usłuchawszy go zaczął pić gorzałkę

i poszedł całkiem w ślady ojca, z początku po trochu, a później więcej, tak że co zarobił swoją pracą, to nawet mu nie wystarczało na zapłacenie żydowi za wypity trunek. I marniał tak za młodu w nałogowem pijaństwie od którego żadne perswazye i namowy ludzkie oderwać go nie mogły — zmarniał bo wiara wygasła w jego duszy — zapomniał o ludziach i Bogu.

Mateusz zaś po rozstaniu się z bratem poszedł do kościoła i pomodlił się szczerze, a modlitwa pokrzepiła go mocno bo uczuł się rzeźwym i silniejszym na duchu, poczem udał się na plebanię do księdza z prośbą o radę i wskązanie drogi w przykrej doli. Ksiądz wiedząc o całem nieszczęściu jakie dotknęło dom Grzędów, przyjął go uprzejmie, pytając się czego żąda, wreszcie co myśli z sobą robić? po odpowiedziach Mateusza, rzekł mu:

— Chcesz być człowiekiem uczciwym i szczęśliwym, nie zapominaj nigdy o Bogu i postępuj cnotliwie i sprawiedliwie; chcesz być bogatym, to pracuj i oszczędzaj, zapracowany grosz składaj i szanuj, bo co stracisz marnie to już ci się nie wróci a grosz składany do grosza będzie się pomnażać i zawsze przybywać, bo jak to mówią, ziarnko do ziarnka będzie miarka, tak samo i z pieniędzmi. Jednak zawsze i wszędzie niech wiara przyświeca ci czysta i święta, i w każdym czynie niech myśl twa wznosi się do Boga i prosi o błogosławieństwo i siłę niepoddania się złej pokusie.

Potem przedstawił mu postępowanie ojca, który póki był cnotliwy, pracowity i bogobojny, póty mu się dobrze wiodło, a jak zapomniał o Bogu i wiara w nim zagasła, rozpił się i utracił cały majątek, przyprowadziwszy całą rodzinę do upadku a sam umarł w nędzy, opuszczony od wszystkich — a kara za jego postępki spadła także na dzieci, które przebłagać Boga mogą tylko dobrem postępowaniem i sprawiedliwemi czynami. Wreszcie powiedział mu, aby szukał służby i pracy, bo próżniactwo wiedzie do złego i grzechu, do rozpusty i pijaństwa. Poradził mu iść do dworu, gdzie właśnie potrzebowali parobka.

Mateusz usłuchał rady księdza, poszedł do dworu gdzie go przyjęto do służby — i szczerze wziął się do pracy, zachowując się przyzwoicie i cnotliwie, przez co zjednał sobie zaufanie pana i przełożonych a lubionym był od wszystkich. Słowa księdza zawsze miał w myśli; nie zapominał nigdy o Bogu i nikomu najmniejszej nie zrobił krzywdy, ani też obraził słowem. Do kościoła chodził w niedzielę rano, a po południu na plebanię do księdza, który nauczał go religii i dawał przykłady cnotliwych i bogobojnych ludzi. Mateusz słuchał z uwagą nauki i opowiadania księdza, które nietylko wskazywały drogę do spokoju i szczęścia na ziemi ale i do dusznego zbawienia. Przyczem ksiądz poradził mu jak z zapracowanym groszem ma sobie postępować, by go nie stracił marnie, lecz składał i oszczędzał, żeby z czasem mógł przyjść do własnej chaty i roli i został samowładnym gospodarzem tak jak jego ojcowie bywali.

To też Mateusz jak tylko dostał zasługi, sprawił sobie to tylko co mu było koniecznie potrzebnem, a za resztę kupował małe cielaki i dawał na wychowek między biedniejszych gospodarzy, dzieląc się z nimi na połowę zyskiem. I tak powoli, powoli przybywało mu chudoby bo sprzedając dorosłe cielaki kupował znowu małe.

Mateusz po kilkunastu latach przyszedł tym sposobem do majątku, bowiem miał już dosyć między gospodarzami na przychowku bydła, które sprzedawszy miałby sporo grosza. A gdyby nie wiara która go utrzymywała w cnocie i obyczajności a powstrzymywała od zepsucia i marnotrawstwa, toby tak samo był wpadł i zniszczał jak jego ojciec i brat. Lecz on swojem zachowaniem się, pracowitością i oszczędnością nie tylko że przyszedł do majątku ale zjednał sobie miłość i szacunek ludzi, a wiarą i pobożnością błogosławieństwo Boga.

Gdy widział że już ma tyle majątku, że mu na kupno roli wystarczy, podziękował za służbę, posprzedawał wszystką chudobę i odkupił tę samą chatę i rolę, którą jego ojcowie mieli, ożenił się i został samowładnym gospodarzem. —

Tak widzicie Mateusz który rozpoczął z Bogiem, z wiarą i cnotą, pobożnością, pracowitością i oszczędnością doprowadził choć po długich latach, że odzyskał to co ojciec jego stracił w krótkim czasie, a nauczony biedą, nie dał się naprowadzić na drogę rozpusty i pijaństwa, lecz owszem odradzał bratu i drugim, by się upamiętali i porzucili na zawsze ten obrzydliwy nałóg pijaństwa, który do grzechu i nędzy prowadzi.

Jędrzej całkiem inaczej się pokierował, zapomniał o Bogu i kościele, wiarę przygasił w sobie pijaństwem i rozpustą— i zmarniał za młodu żyjąc jak nieludzkie stworzenie; co zarobił przepił, nigdy nie miał złamanego szeląga przy sobie, bowiem wszystko tonęło u żyda na gorzałkę. Ludzie porządniejsi stronili od niego, nawet brat rodzony wstydził się i wolał go całkiem nie widzieć na oczy, niż ujrzeć pijanego, zaniedbanego, obdartego jak dziada. I biedował tak wiodąc żywot w okropnej nędzy, choć miał siłę i zdrowie po temu by się wyratować od upadku a nakoniec umarł w karczmie pod ławą.

Tak to bywa że kto się za wczasu nie opamięta i na dobrą nie wstąpi drogę, nie zahartuje się wiarą, cnotą i pracą, ten przepadł na zawsze dla siebie, dla ludzi i Boga!

Mateusz po kilku latach gospodarstwa na własnym gruncie przyszedł do majątku i znaczenia, bowiem swojem prowadzeniem się i uczciwością zjednał sobie szacunek i zaufanie w gromadzie, która tak samo jak jego ojca niegdyś, wybrała go sobie na przełożonego, t. j. sołtysa czyli wójta. Mateusz się wzbraniał z początku, lecz po namyśle postawił ten warunek, że tylko wtedy przyjmie ten urząd, jeżeli przystaną wszyscy na to, by rady nad sprawami gromadzkiemi i sądy nie odbywały się odtąd nigdy w karczmie lecz w chacie przełożonego lub u którego ze starszyzny gromadzkiej, a w lecie pod gołem niebem.

Większość gospodarzy przystała z chęcią na ten warunek, mała tylko garstka opierała się temu, chcąc i nadal cudzym kosztem wieść żywot pijacki.

Mateusz postawił drugi warunek:

— By kara jaką będą wymierzać na winnych, nie obracaną była na gorzałkę i przepicie, lecz częściowo na kościół,

szkołę i zakupno pożytecznych książeczek, z którychby wszyscy mogli korzystać ci którzy umią czytać czytaliby tym, którzy nie umią.

I na ten warunek większość gospodarzy przystała z ochotą a Mateusza uściskali za tak praktyczne i dobre zaprowadzenie, bowiem w karczmie przy sądach gorzałczanych nieraz przychodzi do większych zwad i bijatyk jak te które sądzili, zkąd pochodzi że nieustanne bywają sądy i bitki — a takiem zaprowadzeniem uchyla się dużo złego, bo nietylko że po trzeźwemu nie przyjdzie do takich zaciętych bójek i obrazy, ale bezstronne i sprawiedliwe osądzenie zapadnie bez krzywdy niewinnych.

I od czasu jak Mateusz Grzęda został przełożonym w Dąbrowie rady i sądy gromadzkie nie odbywają się już nigdy w karczmie, lecz u niego w domu lub gdzie indziej, winnych skązują na dnie pracy, a co skazany w tych dniach zarobi to za to kupują książeczki, dają na szkołę lub kościół. Wszyscy zadowoleni z tego, nawet i ci którzy ulegną karze, i dziś choćby kto inny został sołtysem, to jużby od tego zwyczaju nie chcieli odstąpi

Gdyby tak wszędzie zaprowadzonem zostało, niejdenego uniknęłoby się złego – a ku dobremu rozwarło drogę. Daj Boże, by za tym przykładem poszły i inne gromady — i takich wójtów miewały!

Józef z Medyki.

Św. Izydor.

Jasna zorza wśród przestworza
Blaskiem niebo skryta w pół,
We wsi budzi, ze snu ludzi
Jakby w barci roje pszczół.
Już skowronek wita dzionek
Hej oraczu gotuj pług!

Rola czeka — ręki człeka,
Pracowitym sprzyja Bóg.
Rzędem długiem woły z pługiem
Ciągną w pola z mnogich stron,
W tem na wieży, dzwon uderzy,
Wiernych Bogu woła on.

Próżno woła, od kościoła
 Obojętny stroni lud,
Rola czeka, ręki człeka,
 Trzeba zorać zagon wprzód.
Jeden tylko — modły chwilką
 Spieszy Bogu oddać cześć,
By Pan z Nieba, tak jak trzeba
 Krzyż na barkach dał mu nieść.
Mówią kmiecie: czy nie wiecie
 Jak we włości srogi pan?
Izydorze — kto zaorze
 Wymierzony tobie łan?
On nie słucha — bo moc ducha
 Do kościelnych pcha go wrót,
Inni orzą ziemię Bożą,
 On chce Boga uczcić wprzód.
A pan srogi — słyszy z drogi
 Izydora słodki śpiew,
Jak grom bieży — włos się jeży
 Lica wściekły pali gniew.
Biada! biada, kto pług składa
 Nim zaorze ziemi łan!
Bóg wysoko, sępie oko
 Wlepił w kmieci srogi pan.
Lecz o Boże! byćże może?
 Pan jak martwy stanął głaz,
Jak smug długi - wszystkie pługi
 Czarną ziemię orzą wraz.
A wśród kmieci, cudnie świeci
 Postać biała w wieńcu z róż,
Spłynął z góry, złotopióry,
 Izydora Anioł stróż!
I wesoły pognał woły
 Ostry lemiesz w ziemię wrył,
A z kościoła — w pocie czoła
 Bieży kmiotek ile sił.
—Izydorze dziecię Boże,
 Woła kornie drżący pan,
Łaska w Niebie chroni ciebie
 Twój Stróż Anioł orze łan. —
Pomnij ludu, w pośród trudu
 Spłynie tobie z Nieba cud,
Bóg pomoże — lecz w pokorze,
 Błagaj — błagaj łaski wprzód.

S. P.

Wojciech Jastrzębiec, Arcybiskup.

Już przeszło czterysta lat temu, jak żył Wojciech Jastrzębiec, Arcybiskup gnieźnieński. Jego ojciec, choć pochodził z panów herbowych był ubogim i na utrzymanie siebie i dość licznej rodziny pracować musiał jak prosty chłop. Niczem też nie różnił się od prostego chłopa, ani obyczajami, ani nauką, ani mieniem, bo ledwie chłopski grunt w Lubnicy pod Pacanowem trzymał; toż Arcybiskupa Wojciecha słusznie do rzędu tych zaliczyć można, co wyszedłszy z pod słomianej strzechy, wznieśli się wysoko tak nauką jak i zasługami położonemi dla matki ojczyzny, a wyszedłszy na panów, wzbogacili także ubogie niegdyś swoje rodziny.

Gdy Wojciech podrósł, zaprowadził go ojciec do Beszowy, wioski sąsiedniej gdzie była szkoła i oddał go wiejskiemu nauczycielowi w naukę. Kosztowała go ta nauka nie mało, a jeszcze więcej w przyszłości kosztować miała, pragnął bowiem oddać syna potem do wyższych szkół, aby mógł z czasem zostać księdzem. Na ubogiego człowieka był to wydatek prawie nad siły, pomimo tego stary ojciec nigdy sobie nie układał, aby syn kiedyś jemu albo swemu rodzeństwu zwrócił te wydatki — jednego tylko żądał od niego, a to, skoro zostanie biskupem, aby ufundował w Beszowie kościół i klasztór Paulinów i zaklął go aby to uczynił. Poczciwe i pewnie miłe Bogu było to zaklęcie i mało zaiste takich dzisiaj znajdzie się ojców, coby łożąc na naukę dzieci swoich, niczego więcej od nich nie żądali, jeno tego, aby nabyte w przyszłości dostatki obrócili na chwałę Bożą — wszelako i żądanie było trudne do wykonania i nadzieja wątła aby mu kiedyś stało się zadosyć, bo gdzie to dziecku, co się w wiejskiej szkole uczy, myśleć o infule, o zakładaniu kościoła i klasztoru!

Wojciech wyuczywszy się u nauczyciela wiejskiego w Beszowie, poszedł do wyższej szkoły, a ztąd do jeszcze wyższej i sposobił się na księdza; ale lata mijały a nauka się nie kończyła. Stary ojciec czekał i czekał, a doczekać się nie mógł, już nie biskupstwa i fundacyi, ale przynajmniej tego, aby mu syna wyświęcili na księdza i nie doczekawszy się tego zaszczytu umarł. Przecież przed śmiercią skazał jeszcze do syna, przypominając mu zaklęcie.

Nakoniec Wojciech został księdzem, a musiał to być człek nielada, bo wkrótce potem wyszedł na kanonika gnieźnieńskiego i krakowskiego, został kanclerzem królowej polskiej Jadwigi (żony króla Władysława co Litwę swoją do chrześciaństwa nawrócił i z Polską połączył), wysełany był jako poseł do Rzymu do ojca św. i w jego imieniu trzymał do chrztu córkę królowej; poczem niedługo został biskupem poznańskim.

Tak spełniło się jedno życzenie ojca jego i to nawet nad-

spodziewanie prędko, a stało się to widocznie za łaską bożą, boć zaiste rzadki to przykład aby kto w tak krótkim czasie tak wysoko się wzniósł, biskup Wojciech liczył bowiem naówczas lat zaledwie dwadzieścia kilka A czy teraz, stanąwszy na tym wysokim stopniu pamiętał o rodzinie swojej, o ojcu ubogim, co go niegdyś piechotą do szkoły prowadził? Czy pamiętał o jego życzeniu i zaklęciu? Często się tak dzieje na świecie że młodzieniec z niskiego stanu wyszedłszy na człowieka, zapomina gdzie się urodził, czasem się własnego ojca wstydzi, a cóż dopiero rodzeństwa. Miałżeby taki pamiętać o co go ojciec w dzieciństwie zaklinał? Miałżeby uszanować wolę ojca i spełnić jego życzenia?

Biskup Wojciech nie zaparł się rodziny, owszem, świadczył krewnym wiele dobrego i myślał o ich przyszłości chociaż wiele na jego głowie spoczywało, bo biskup w Polsce był zarazem jakoby ministrem i nietylko kościelnemi ale i krajowemi sprawami zajmować się musiał, Miała wtenczas Polska kłopoty wielkie z rycerzami niemieckimi Krzyżakami, toż biskup Wojciech musiał się układać to z nimi to z cesarzem niemieckim. Gdy w końcu mimo wszystkie układy Krzyżacy Polsce nie przestali krzywd wyrządzać i przyszło z nimi do wojny, biskup Wojciech, jako osoba duchowna nie mogąc służyć matce ojczyźnie szablą, służył jej pieniędzmi i pułk cały swoim kosztem wystawił, a nawet na plac boju z królem Władysławem pojechał.

Obok wielu czynów pięknych, świadczących o jego rozumie, cnotach i zacności wielkiej, dokonał i tego, że ojca swego życzenia spełnił i tak jak mu był przyrzekł, kościół w Beszowie z klasztorem dla księży Paulinów wystawił.

Długo jeszcze potem żył biskup Wojciech. Z poznańskiego został potem krakowskim biskupem a nakoniec Arcybiskupem gnieźnieńskim który w Polsce jest najwyższą osobą duchowną i nazywa się prymas; jest pierwszym po królu i nawet go podczas bezkrólewia zastępuje. Założył miasteczko Jastrzębiec, kilka zamków zbudował, kilka kościołów wzniósł i hojnie uposażył, a rodzinie swojej znaczne pokupił dobra.

Zarzucano mu nie jedno, ale nikt nie jest bez ale i on więc mógł błądzić jako człowiek; ale że był mężem niepospolitym, świadczy o tem historya za jego czasów pisana, świadczą o tem mury i świątynie które dźwignął. Bądź co bądź w rzędzie ludzi co z pod słomianej wyszli strzechy jedno w pierwszych i najzaszczytniejszych miejsc zajmuje, nie tylko dlatego że się wzniósł wysoko, nie tylko dlatego że nieznaną i ubogą rodzinę swoją uczynił możną i bogatą ale i jeszcze bardziej dla tego, ponieważ wolę ojca swego, choć już nieżyjącego, uszanował i pobożne jego życzenia święcie dopełnił, czem okazał się równie wdzięcznym dla swego rodzica, jak był dobrym i prawym synem matki ojczyzny.

Stanisław Krakowczyk.

Obieg wody.

Morze dwie trzecie całej powierzchni ziemi zajmuje; jedna tylko trzecia część na pięć ogromnej obszerności lądów czyli części świata, i na bardzo wiele mniejszych wysp podzielona, stanowi ląd stały który bez wody byłby suższym, kamienistszym zupełnie prawie piasczystym lub gliniastym, gruntem bez lasów, łąk, drzew, trawy i mchu, bez roślin, te bowiem tylko w miejscach falami morskiemi zwilżonych, rosnąćby mogły; a o nie wiele kroków od brzegu niedosięgniętego bałwanem, zaczynałaby się pustynia, straszliwa przez brak roślinności i żyjącego stworzenia, jak Sahara w Afryce, lub Arabska pustynia w Azyi.

Dobrodziejstwo rozdziału wody po całym stałym lądzie, winniśmy słońcu i wiatrom, te odbywają działania, które dopiero po ich bliższem rozpoznaniu i dostatecznem obliczeniu, prawdziwie podziwiać zdołamy. Morze od wielu tysięcy lat, w tych samych prawie granicach zostaje, możemy więc bez popełnienia znacznej niedokładności w rachunku przypuścić, że codziennie tyle się wody z morza ulatnia, ile jej natomiast

z przypływu rzek przybywa. Wyrachowana masa wody Renem do północnego morza wpadającej, wynosi 76 tysięcy stóp sześciennych na sekundę. Z tego więc łatwo domyślić się można, jakiej ogromnej ilości wody tak liczne wielkie i pomniejsze rzeki Europejskie, przez ujście swoje morzu dostarczają. W Afryce Nil, w Azyi Wołga, Indus, Ganges i Chińskie olbrzymie rzeki: Hoangho i Jantsekiang jeszcze obfitsze massy wody wlewają do morza. Strumienie jednak Amerykańskie jak Amazonka i Mississipi, przewyższają swoim ogromem, wszystkie poprzednie rzeki. Ztąd więc prawdopodobnie przypuścić możemy, że ta sama ilość wody w przecięciu z morza w pary wstępuje w powietrze, jaka do niego rzekami wpada, bo inaczej w krótkim czasie znacznieby wezbrało i z brzegów wystąpiło; teraz zaś zapytać się nam należy, jakim sposobem taka niesłychana masa ciężkiej wody wznosi się do góry?

Wiemy z jakim to trudem przychodzi wyciągnąć wiadro wody z głębokiej studni, albo ją wynieść na trzecie lub czwarte piętro. Dla wyprowadzenia z jakiej szyby górniczej wody, mogącej maleńki strumyczek utworzyć, potrzebaby do tego użyć parowej machiny o sile stu koni, zastępującej pracę dwóch tysięcy ludzi. Cóż to przeciwnie za potężna siła być musi, która codziennie tysiące milionów cetnarów wody z morza, jezior, stawów, bagnisk i rzek, więcej niż w milowe wysokości w górę wynosi, i na sta mil po nad lądy przepędza, gdzie się niepoliczone drobniuteńkie kuleczki pary łączą w kropelki i tworzą chmury, obłoki. Słońce i wiatr pomagają sobie wzajemnie w tej pracy.

To działanie można sobie niejako w następujący sposób wystawić: nad morzem unosi się jak wszędzie, powietrze, na podobieństwo delikatnej, przezroczystej gąbki, bo i powietrze wciąga w siebie wodę, i jeszcze chciwiej od gąbki; ta bowiem napojona wodą, wysycha w powietrzu, to jest: powietrze wyciąga z niej wodę, jak z rozwieszonej mokrej bielizny, lub ze wszystkiego, gdzie tylko wodę na drodze napotka; a więc i z morza, jezior, rzek, stawów, tak podobnie jak z miski lub talerza w naszych własnych oczach. A im cieplej-

sze jest powietrze, tem chciwiej wciąga w siebie wodę, i silniej ją utrzymuje; dlatego w zimie mokrą bieliznę rozwieszają przy piecu, a w lecie na słońcu. Kiedy więc słońce rozgrzeje powietrze, wtedy wodna para z morza i ze wszystkich zbiorowisk wody, tem wyżej się wznosi, im bardziej było powietrze rozgrzane; łatwo sobie przeto wystawić możemy, jak silne parowanie na morzu odbywa się w gorących strefach ziemi, gdzie słońce prostopadłe rzuca promienie. Z nierówno zatem rozgrzanego powietrza, powstają wiatry w rozlicznych okolicach, a mianowicie z gorących stref ku południowi i północy wpadające, niosąc ze sobą miliony wiader wody po nad lądem stałym, wysoko ponad równiny, doliny i góry. Nawet ze szczytu najwyższych gór, widzimy jeszcze chmury wysoko ponad sobą, unoszące się w powietrzu, co jest dowodem jak wysoko w niem para wodna nie tylko wznieść, ale i utrzymać się może.

Kiedy się powietrze ochładza, wtedy już do wciągania w siebie i zatrzymania pary wodnej niezdolne; wówczas to uchodzi z nieskończenie maleńkich, delikatnych otworków para, która gromadzi się w nader drobniuchne kropelki. Takim sposobem powstaje mgła wieczorna, bo gdy powietrze w dolinach ochłódnie, wtedy i zimne góry, pokrywją się mgłą, i z niej tworzą się w wysokich, zimnych warstwach powietrza, rozlicznego kształtu chmury. Powietrze pomimo swej subtelności może unosić chmury i mgłę, jak również i drobny pyłek utrzymuje na sobie; ale skoro tylko maleńkie kropelki w większe zbiją się krople, opuszcza się mgła i deszcz z unoszących się chmur, podobnie jak piasek w powietrze rzucony, na dół opada. Jeżli powietrze bardzo jest zimne, a ciepło zwolna zbliża się do punktu marznącej wody, wtedy delikatne cząstki pary wodnej ziębnąc, w śnieg się zamieniają, i wtedy śnieg pada; jeżli zaś nagle ciepło poniżej punktu zmarznięcia, opada, jak się to w lecie dziać zwykło, to naówczas wielkie krople, stają się lodem, i spadają w postaci gradu albo krup. Tak więc woda morska wznosi się w kształcie pary w powietrze, a spada na powrót w postaci deszczu, śniegu lub gradu.

Przytem jeszcze jedno dobroczynne urządzenie natury

uwzględnić należy. Woda morska jest gorzka i słona wieloma z ziemi uniesionemi cząstkami ciał zanieczyszczona, a przeto nie do użycia; woda w wielu jeziorach i bagnach zepsuta i obrzydliwa, lecz gdy w powietrze wstępuje i w parę się zamienia, czyli paruje, wtedy się oczyszcza jak w alembiku, dlatego to woda deszczowa jest tak miękka, czysta i zdrowa, jak dystylowana z apteki. Taką to wielką przysługę, a dzielną w skutkach robotę, za darmo słońce nam wyświadcza.

Już dlatego samego wiele zawdzięczamy powietrzu, że nam wodę daleko z morza po wszystkich krajach rozprowadza, i na najwyższe góry zanosi; słońcu jednakże, jeszcze więcej winni jesteśmy, bo w jego gorących promieniach woda morska i z wszelkich mokrzadeł, niejako się wygotowywa i dystyluje. Gdyby nam samym przyszło to uskutecznić, wtedy wszystkie nasze dystylarnie i w gorzelniach i aptekach, i wszelkie kotły parowe nie byłyby dostateczne, a drzewa i węgla zabrakłoby pewnie na świecie, do utrzymania bez przerwy tak silnego na ten koniec, ognia.

A przecież potrzebujemy czystej wody nie tylko do picia, gotowania i prania, ale i w browarach nie możnaby ważyć piwa z morskiej wody, ani płócien blichować, ani materyi farbować, ani skór garbować, ani w ogrodzie roślin podlewać, te bowiem wygniłyby po większej części nie zasilone miękką wodą deszczową i czystą rosy wilgocią.

Deszcz zwilża ziemię, przez co rośliny pomyślnie wzrastają, on napełnia źródła, strumienie i rzeki, a te znowu wpadają do morza; tym więc sposobem dopiero uzupełnia się ten piękny a dziwny obieg wody na naszej ziemi.

I góry wreszcie są do tego działania pomocne, bo na nich woda się zbiera, która potem z wielkim dla wszystkich istot pożytkiem, po wszystkich także rozpływa się krajach.

Wawrzyniec Cz. naucz. z Brz.

Kasy oszczędności.

Są narody szczęśliwe, bogate a nas trapią bieda i nędza, dla tego też tamte narody są potężne i szanowane, a nami wszyscy poniewierają. Jeżeli chcemy podnieść się z upadku, to pierwszą jest rzeczą abyśmy się stali moralnymi i zamożnymi.

Do moralności prowadzi religia, do bogactw zaś prowadzi praca i oszczędność. My jesteśmy pracowici, tego zaprzeczyć trudno, ale też i to przyznać trzeba że nie lubimy oszczędzać — a nawet, co zresztą bardzo nierozsądnie, wyśmiewamy tych co oszczędzają, zapominając że kto nie oszczędza, nigdy się niczego nie dorobi a co gorsza stopniowo w coraz gorszą wpada nędzę.

Oszczędność nie jest rzeczą łatwą. Mając parę groszy w kieszeni oprzeć się pokusom, odmówić sobie jakiej przyjemności, lepszego jadła, lepszego odzienia, bardzo trudno tym, którzy nawet wtedy panować nad sobą nie umieją gdy mają pustki w kieszeniach, i byle żołądkowi dogodzić, gotowi są robić długi — szczęściem ludzie rozumni wymyślili bardzo skuteczny środek na obronę od tych pokus, a środkiem tym są kasy oszczędności.

Kasa oszczędności jest to kasa jak każda inna, czyli dom, w którym są skrzynie żelazne na pieniądze, są urzędnicy którzy pieniądze odbierają i wydają, i z nich się rachują, a wszystko co się tam robi, robi się publicznie, nie pokryjomu, tak iż ci którzy tam składają swoje pieniądze, w każdej chwili mogą wiedzieć jak stoi ich sprawa. Są dni wyznaczone w których do kasy przyjmują pieniądze, są wyznaczone i dni w których je wydają. Jeżeli więc oszczędzi kto małą sumkę, choćby tylko kilka złotych, choćby złoty, a lęka się aby mu się nie rozeszły, lub aby mu ich nie skradziono, niech je zaniesie do kasy oszczędności. Tam odbiorą od niego i schowają do żelaznej skrzyni jego pieniądze, a jemu dadzą książeczkę, w której będzie zapisane wiele złożył. Tę książeczkę trzeba schować starannie a gdy się znowu jaka sumka uzbiera, idzie się znowu z książeczką do kasy oszczędności, a tam znowu pieniądze odbiorą a w książeczce do pierwszej sumki dopiszą tą drugą i tak dalej. Tym sposobem można zabezpieczyć swoje pieniądze od złodzieja i łatwiej się pokusom obronić, bo gdy się pieniędzy nie ma w ręku, łatwiej sobie odmówić mniej potrzebnego wydatku. Tymczasem pieniądze nasze, w kasie oszczędności złożone, pomnażają się powoli, bo kasa oszczędności płaci procent, od każdej setki trzy lub cztery na rok, więc od każdego złotego (który ma sto centów) trzy lub cztery centy, od każdych stu złotych, trzy lub cztery złote. Gdy zaś prawdziwa przyciśnie nas potrzeba, znowu z książeczką idziemy do kasy, i żądamy zwrotu części albo i wszystkich naszych

pieniędzy, a kasyer w tejże chwili, bez najmniejszej zwłoki, bez żadnego pytania, czyni zadość naszemu żądaniu.

A zkąd kasa bierze pieniędzy aby nam mogła procenta opłacać od sum które w niej składamy? Kasa oszczędności nie trzyma bezużytecznie pieniędzy w skrzyniach, lecz niemi obraca, a mianowicie pożycza je na hipoteki pewne, jakoto na dobra ziemskie, na kamienice i pobiera od sum wypożyczonych większy procent niżeli sama płaci, kupuje obligacye znaczniejszy procent niosące i t. d.

W Warszawie jest kilkanaście kas oszczędności groszowych, dla tego tak nazwanych, bo tam nawet grosz przyjmą gdy kto przyniesie, podczas gdy w zwyczajnej kasie oszczędności nie przyjmują tak małych wkładek. Kasy groszowe przeznaczone są dla ludzi najuboższych, zwłaszcza dla dzieci w terminie zostających. Chłopiec będący u majstra, często dostanie parę groszy za drogę, które zwykle na fraszki wydaje. Lecz jeżeli zamiast wydawać, będzie je zanosił do kasy oszczędności grosz do grosza przyłożony, wkrótce zamieni się w złotówkę, a złotówka niesie już procent. Tym sposobem dziecko od młodu przyzwyczaja się do szanowania grosza, do oszczędności, uczy się ograniczać swoje wydatki i hamować swoje zachcianki, a to już bardzo wiele i rzecz pewna że chłopiec który w dziecinnych latach nawet z jednego grosza dobry użytek zrobi, ten w późniejszym wieku będzie tysiącami roztropnie obracał, bo jak z grosza robi się złoty, tak ze złotego powstaje dziesięć i sto złotych a ze setek tysiące się tworzą.

W naszym kraju kas oszczędności jest bardzo mało, a o groszowe ani pytaj. Są jednak kraje i to wcale nie bardzo od nas dalekie, gdzie prawie w każdej wsi jest kasa oszczędności. Wsie takie zwykle w krótkim czasie bardzo zamożnemi się stają. Nie znają tam przednowku, nie znają żebractwa, nikt nie pożycza na lichwę, nie zdarzają się wypadki przymusowych sprzedaży. Nikogo tam jednoroczny nieurodzaj lub nawet dłuższa choroba nie zgubi, nikt się na wiano dla córki zapożyczać nie potrzebuje, bo każdy gospodarz ma w kasie oszczędności zapasik, a tego zapasu nawet w największej potrzebie do dna niewyczerpuje, lecz w najgorszym razie przynajmniej procenta na rozpłodek zostawia, a nadczerpnąwszy, stara się wszelkiemi siłami uzupełnić swój kapitał w jak najkrótszym czasie.

I w naszym kraju może być podobnie, niechby tylko każda wieś pomyślała o założeniu u siebie kasy oszczędności.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.